

Urok wspólnego tańca

Najnowsza premiera Polskiego Baletu Narodowego uświadamia widzom, że współcześni Holendrzy stali się mistrzami w innej dziedzinie niż malarstwo.



„Grosse Fuge” Hansa van Manena powstała w 1971 roku i znakomicie wytrzymała próbę czasu

JACEK MARCZYŃSKI

Gdy ludzie z wielu krajów, w tym i z Polski, pielgrzymują teraz do Amsterdamu, by podziwiać obrazy Vermeera, tytuł przedstawienia w Operze Narodowej „Beethoven i szkoła holenderska” sugeruje odniesienia właśnie do malarstwa. Tymczasem w XX wieku Holendrzy zadziwili świat w tańcu.

Ich doświadczenia dowodzą, że czasami lepiej nie wiedzieć nic, zaczynać od zera. Dopiero od lat 60. XX wieku zaczęły dźiać się w Holandii rzeczy baletowo niezwykle interesujące. Sprawili to tzw. trzej panowie „van”, którzy podpatrując, co tańczy świat, stworzyli właśnie szkołę holenderską. Wyróżniają ją: umiłowanie prostoty, niechęć do wszelkiego gwiazdorstwa i otwarcie na eksperymentowanie, co wymaga absolutnej wszechstronności tancerzy.

Czarne i białe klawisze

Jeden z „ojców założycieli”, Hans van Manen, uważa, że taniec to tylko taniec. Nie ma opowiadania historyjek, psychologizowania i natrętnej symboliki. Taniec ma być jak abstrakcyjne malarstwo, choć tworzywem jest człowiek ze swą osobowością i emocjami.

Perfekcyjne warsztatowo choreografie Holendrów wytrzymują próbę czasu, dowodzi tego spektakl Polskiego

Baletu Narodowego, który rozpoczyna „Grosse Fuge” Hansa van Manena. Powstała ponad pół wieku temu, a i dziś propozycje wielu innych twórców wyglądają przy niej na dzieła jałowe.

Posługując się Wielką fugą B-dur i muzyką kameralną Beethovena w opracowaniu orkiestrowym, Hans van Manen stworzył w czerni i bieli układ na cztery tancerki i czterech tancerzy. Są jak białe i czarne klawisze fortepianu tworzące wspólną muzykę, a każde z nich pełni równie ważną, choć własną rolę.

W spowolnionym często ruchu, w zastygających pozach liczy się każdy gest, zatrzymanie dłoni lub podniesienie nogi. „Grosse Fuge” to taniec, w którym nikt nie może się wyróżniać, a wszyscy muszą prezentować najwyższy poziom. U nas zatańczyli najlepsi soliści, dodając tej choreografii podskórne napięcie, choć potrzeba trochę czasu i zgrania, by rzeczywiście stali się też jednym organizmem.

91-letni Hans van Manen nie zdecydował się na podróż do Warszawy. Przyjechał za to młodszy o cztery lata Toer van Schayk i sam przywiózł tanczną wersję VII symfonii Beethovena. Zanim został choreografem, był scenografem i rzeźbiarzem, czego wpływ widać w jego baletach, bo z tancerzy lubi kształtować formy przestrzenne.

„Siódma symfonia” z 1986 roku należy do najsłynniej-

szych jego prac, bo też udało mu się znakomicie udowodnić, że ta symfonia Beethovena jest apoteozą tańca. Dla van Schayka przede wszystkim zespołowego, jedynie w drugiej części na plan pierwszy wybijają się choćby Chinara Alizade i Vladimir Yaroshenko, poza tym dominuje radosna zbiorowość. Finał porywa energią i żywiołowością zespołu, czujnie też prowadzonego przez Aleksieja Bakłana dyrygującego orkiestrą.

Polskie emocje

Szkoła holenderska to nie tylko XX wiek. Obecnie szefem Holenderskiego Baletu Narodowego jest wychowanek zespołu, urodzony w Danii Ted Brandsen. Specjalnie dla warszawskich tancerzy ułożył „Eroica Variations”. Dochowuje wierności swoim mistrzom, ale nie naśladuje ich ślepo, stara się zaadaptować do holenderskiego stylu to, co pojawia się w światowym tańcu, choćby ruch zaczerpnięty z codzienności. Jego praca to także popis zespołowości, ale i wysmakowany duet (Mai Kageyama i Ryota Kitai). Brakowało jedynie lepszego porozumienia z pianistą Piotrem Sałajczykiem.

Spektakl „Beethoven i szkoła holenderska” nasuwa pytanie, czy i my moglibyśmy mieć polską szkołę? Wtedy gdy Holendrzy podpatrywali świat, u nas obowiązywała – ze

względów ideologicznych – radziecka klasyka. Wyrwał się do Paryża Conrad Drzewiecki, a potem założył także oryginalny Polski Teatr Tańca. Nie znalazł jednak w pełni wsparcia i poczuł zmęczenie.

Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy Krzysztof Pastor przekształcił zespół Opery Narodowej w Polski Balet Narodowy. Sam jest aktywnym choreografem, ale zadbał, by twórczo rozwijali się inni. Jacek Przybyłowicz czy Robert Bondara pracują dziś nie tylko w Polsce, pierwsze sukcesy odnosi też młodsza od nich Anna Hop. Jest ponadto Izadora Weiss, która doświadczenia artystyczne zdobywała także w Holandii.

W Europie Krzysztof Pastor uchodzi za wychowanek Holendrów, bo w Holenderskim Baletie Narodowym tańczył i zaczynał jako choreograf, nie ukrywa też, że wielu zdobytym tam naukom pozostaje wierny. Ale to, co tworzy, wyróżnia się innym typem emocjonalności, obcej Holendrom. To samo można powiedzieć o pracach innych naszych młodszych choreografów.

Czy w dzisiejszych czasach nieustannego przepływu informacji da się tworzyć narodowe szkoły? Uczmy się od innych i dodajmy coś od siebie. Taniec to sztuka ponad granicami, o czym świadczy choćby skład Polskiego Baletu Narodowego. Najlepszego zespołu, jaki udało się stworzyć w powojennej historii. /©©